

Walka o suwerenność Polski w cieniu traktatu lizbońskiego...

Wielu przezornych ludzi ostrzegało przed wejściem Polski do Unii Europejskiej i negatywnymi następstwami tej decyzji, ale w okresie, gdy dokonywano „anschlusu”, byli oni powszechnie wyszydzani przez polityczny establishment i wpływowe media, jako przedstawiciele anachronicznej kasty patriotów. W „owczym pędzie” do wygodnego życia zagubiono całkowicie poczucie realizmu i przyzwoitości, a krajowi decydenci owładnięci wizjami oszałamiających karier na unijnych salonach, w ogóle nie przejmowali się warunkami naszej akcesji, dążyli tylko, do jak najszybszego wcielenia Polski do „wspólnoty”, bez względu na cenę, jaką Polacy musieli za to zapłacić.

W chwili obecnej, gdy z perspektywy minionych kilku lat, możemy w sposób chłodny i bardziej rzeczowy (ponieważ dysponujemy większą wiedzą i licznymi doświadczeniami) ocenić nasze uczestnictwo w Unii, należy wyraźnie stwierdzić, że nie do takiej instytucji wchodziliśmy, w jakiej przyszło nam teraz funkcjonować. Warunki naszej akcesji ulegały stałemu pogorszeniu, przy okazji każdego ważniejszego szczytu unijnych przywódców.

Dzisiaj już nikt w Europie nie pamięta o ustaleniach podjętych w Kopenhadze, nie ma też chętnych do „umierania” za Niceę, natomiast obowiązuje przyjęty z wielką aprobatą większości polskich polityków traktat lizboński, który udało się Niemcom „przepchnąć”, pomimo przejściowego oporu Irlandii i wcześniejszej porażki z konstytucją europejską. W czasie, gdy w polskim sejmie decydowały się losy tego traktatu, a tym samym również przyszłość naszego państwa, zapewniano nas, że Polska zachowa suwerenność, a nawet wzmocni swoją pozycję wśród narodów starego kontynentu.

Stało się jednak inaczej, gdyż zostaliśmy w cyniczny i podły sposób wykorzystani w brudnych gierkach prowadzonych przez krajowych polityków. Nie ziściły się mrzonki o „silnej Polsce w Europie”, a w międzyczasie zostaliśmy pozbawieni większości atrybutów przynależnych suwerennemu państwu. Daliśmy się ubezwłasnowolnić, chociaż jeszcze do niedawna byliśmy narodem, który wysoko cenił swoją wolność i podmiotowość.

Dzisiaj na własne oczy możemy obserwować, jak dokonuje się ruina naszego rodzimego „świata” i jak dewaluują się znane nam do tej pory pojęcia: patriotyzmu, odpowiedzialności i honoru, z których wyzuci są całkowicie dzisiejsi politycy. Fiasko „polskiej” prezydencji i narastająca, wprost proporcjonalnie do skali zaostrzającego się kryzysu w strefie euro, presja niemiecko-francuskiego tandemu decyzyjnego, ukazały w całej pełni jałowość i szkodliwość dotychczasowej polityki, a nade wszystko miałość i bylejakość rządzących nami polityków.

Pamiętam dobrze, jak zgodnym chórem recytowano, jakie to „szczęście” spotkało Polaków, że „nasi” przedstawiciele w osobach Janusza Lewandowskiego i Jerzego Buzka, zostali wybrani na tak ważne stanowiska w UE, jak funkcja przewodniczącego Parlamentu Europejskiego i komisarza ds. budżetu. Zapewniano przy tym, że zrobią wiele dobrego dla Polski, która będzie mieć z nich wielki pożytek, zwłaszcza, że zapłaciliśmy za ich „stołki” rezygnacją z ważnych dla naszego kraju postulatów. Okazało się jednak, że ci unijni (bo przecież nie polscy) urzędnicy, potrafią tylko dbać o własne kariery i prawie natychmiast z reprezentantów Polski w Brukseli, przemienili się w uczynnych akwizytorów unijnych interesów. Doświadczenie to, powinno nas w przyszłości wyczulić na podobnego rodzaju zagrywki, ze strony rodzimego chowu karierowiczów, którzy w zamian za posady w unijnych instytucjach, będą chcieli przehandlować polskie interesy narodowe.

W tego typu postawę wpisuje się również skandaliczne zachowanie szefa MSZ Radosława Sikorskiego, który podczas wystąpienia na forum Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej w Berlinie przedstawił rzekomo „polską” wizję Unii Europejskiej. Sikorski stwierdził tam, że przyszłością Unii jest federacja i że będzie się domagał, aby państwa członkowskie miały tyle tylko autonomii, ile mają stany USA.

Jednocześnie „łaskawie” wyłączył spod władzy Brukseli: edukację, moralność publiczną i podatki, które miałyby pozostać w gestii państw członkowskich, ponieważ jego „skromnym” zdaniem „w Unii mogą funkcjonować obok siebie kraje różniące się godzinami pracy czy prawem rodzinnym”. Zaproponował także wzmocnienie najwyższych instytucji UE, poprzez połączenie stanowisk przewodniczących Rady i Komisji Europejskiej, wejście w skład Komisji bliżej nieznanych nam „prawdziwych przywódców z autorytetem i charyzmą” (być może miał na myśli Angelę Merkel i Nicholasa Sarkozy’ego) oraz wybór deputowanych do Parlamentu Europejskiego z ogólnoeuropejskiej listy kandydatów.

Z jego toku rozumowania wynika, że z jednej strony pragnie on wzmocnienia Unii poprzez zwiększenie prerogatyw jej nadrzędnych organów oraz przekazanie przywództwa w ręce polityków niemieckich lub ewentualnie francuskich, a z drugiej chodzi mu ewidentnie o zapewnienie sobie i innym „namaszczonej” politykom europejskim wygodnego azylu na unijnych salonach, przy jednoczesnym wyeliminowaniu wpływu poszczególnych krajów na wybór „swoich” przedstawicieli w Brukseli. Tak więc rozwiązania proponowane przez Sikorskiego zmierzają w kierunku całkowitego ubezwłasnowolnienia państw członkowskich i poddania ich arbitralnym rozstrzygnięciom unijnych technokratów, realizujących interesy najważniejszych europejskich graczy.

Zachowanie Sikorskiego nie jest jakimś incydentalnym „wyskokiem”, czy odosobnionym przypadkiem, ponieważ wyraźnie można dostrzec, że jest to element przemyślanej i konsekwentnie realizowanej strategii rządu Donalda Tuska, który przyjął rolę bezkrytycznego realizatora założeń niemieckiej polityki wobec Unii. Świadczy o tym, między innymi brak jego reakcji na słowa wypowiedziane przez Sikorskiego, który boi się mniej „niemieckiej potęgi niż niemieckiej beczynności”. Zresztą cały aparat rządowy i jego propaganda wprzęgnięte zostały w realizację tego planu, a zapewne wielu Polakom dźwięczą jeszcze w uszach słowa ministra Rostowskiego, który parę miesięcy wcześniej straszył Europejczyków wojną, która rzekomo miałby być następstwem rozpadu strefy euro.

Dlatego uprawnionym jest rozumowanie, że ani wypowiedziane przez „lokajów” Tuska deklaracje, ani ich kontekst i miejsce nie były przypadkowe. Sikorski jadąc do Berlina miał świadomy zamiar, zapewne uzgodniony ze swoim pryncypałem, złożenia hołdu niemieckiej polityce i przygotowania gruntu pod usankcjonowanie jej dominacji w Europie. Temu właśnie celowi miała służyć cała „polska” prezydencja, która, jak wiemy, nie posiadała innych godnych uwagi priorytetów.

Jednak, jak się rychło okazało, plan przekształcenia ostatniego brukselskiego szczytu w wielkie „zwycięstwo” zwolenników idei pogłębionej integracji UE i narzucenia jej niemieckiego przywództwa całkowicie zawiódł. Prezydencja firmowana przez Tuska i jego ekipę doznała sromotnej porażki i upokorzenia, a stało się to za przyczyną premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona, który stwierdzając dobitnie, że państwo przez niego kierowane nigdy nie przyjmie wspólnej waluty i nigdy nie porzuci swojej suwerenności, wylał kubeł zimnej wody na rozgrzane głowy fanatycznych euroentuzjastów.

Przywódcom Niemiec i Francji udało się jedynie skłonić większość państw członkowskich (poza Wielką Brytanią) do akceptacji projektu ustanowienia tzw. paktu fiskalnego, który miałby być podpisany pod koniec marca bieżącego roku, w formie porozumienia międzyrządowego. Zgodnie z jego założeniami „złota reguła” dotycząca nieprzekraczalnego deficytu 3 proc. PKB i długu 60 proc. PKB miałyby być wpisane do konstytucji wszystkich uczestników porozumienia, a za jej złamanie przewiduje się sankcje finansowe, które nakładać ma Europejski Trybunał Sprawiedliwości.

Wspomniane państwa mają także partycypować w kosztach związanych z ratowaniem eurowaluty, co ma się odbyć poprzez udzielenie „pożyczki” dla MFW, który będzie rozdzielał pomoc finansową dla najbardziej zadłużonych krajów eurolandu. Premier Tusk zobowiązał się, że Polska na ten cel przeznaczy 10 proc. swoich rezerw walutowych, które wynoszą obecnie ok. 73 mld euro. W przyszłości przewidywana jest również pomoc w ratowaniu komercyjnych banków: niemieckich, francuskich, belgijskich, włoskich i innych, które utraciły wiele miliardów euro na

zakupie „lipnych” obligacji emitowanych przez największych europejskich dłużników. Widać więc, że za rozrzutność i życie ponad stan mieszkańców zachodniej Europy, zapłacić ma w dużej mierze uboższy od nich podatnik polski, czeski, słowacki etc. A zawdzięczamy to „szczudrośliwości” premiera Tuska! Nie ma w tym oczywiście nic złego, że w trudnych sytuacjach państwa sobie pomagają, zwłaszcza, jeśli mogą w przyszłości liczyć na wzajemność. Jednak, jaki Polska może mieć w tym interes, aby ratować z opresji pazernych bankierów i ponosić wyrzeczenia dla utrzymania dotychczasowego poziomu życia przez niemieckiego emeryta?

Natomiast z całą pewnością, wyprowadzając tak duże sumy z naszych rezerw walutowych narażamy stabilność własnej waluty, zmniejszając skuteczność interwencji NBP na rzecz wzmocnienia kursu złotówki. Poza tym, jest kwestią zwykłej przyzwoitości, aby rząd nie drenował krajowej gospodarki i kieszeni zubożałego polskiego emeryta, w interesie obcych państw i społeczeństw, które dotychczas nie przejmowały się zbytnio naszym losem. Jest chyba rzeczą zrozumiałą dla wszystkich, że ten, kto narobił długów, powinien je również spłacać, choćby przyszło mu teraz „zaciśnąć pasa”.

Pomimo wszystko, nie powinniśmy się jednak zbytnio dziwić nędzy polskiej polityki, a w konsekwencji słabości naszego państwa, którego władze nie potrafią nawet poprawnie zdefiniować naszego interesu narodowego, skoro na czele rządu stoi Donald Tusk. Już bowiem w 1987 roku na łamach pisma „Znak”, stwierdził on, że „polskość to nienormalność”, a nasza rodzima tradycja i historia to dla niego „wzniosło-ponuro-śmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń”. Polskość jawiła mu się jako „brzemień”, którego nie miał „specjalnej ochoty dźwigać”, co wywoływało u niego „niezmiennie odruch buntu”.

Nielepiej zresztą przedstawia się obraz kierowanej przez niego partii, w której pełno jest dyletantów i nieuków, kierierowiczów, pozerów i serwilistów. Nie może, więc dziwić upadek etosu służby publicznej, bo któż z dzisiaj rządzących miałby pozostać wierny zasadzie pracy *pro publico bono*, jeśli są to w większości ludzie słabi moralnie i łąsi na wszelkie zaszczyty. A służba publiczna, to przede wszystkim uczciwość, odpowiedzialność i ciężki obowiązek.

W moim przekonaniu, w najbliższej perspektywie czasu, z polskiego parlamentu nie wyjdzie żaden impuls do pozytywnych zmian i odrodzenia narodowego, ponieważ w panującej tam atmosferze prywaty i partyjnych intryg dojrzewa raczej kolejna Targowica. Jak bowiem przejść obojętnie wobec faktu, że w 2008 roku sejm uchwalił przytłaczającą większością głosów traktat lizboński, którego wejście w życie pozbawiło państwo polskie suwerenności i umożliwiło unijnym biurokratom stałą ingerencję w nasze sprawy wewnętrzne. Stało się to za przyzwoleniem wszystkich partii posiadających wówczas swoją reprezentację parlamentarną. W chwili obecnej dalsze pogłębianie procesu integracji europejskiej, za cenę demontażu polskiej państwowości, popierają zdecydowanie PO, SLD i PSL. Swoje pięć groszy do publicznej debaty dorzucił ostatnio również znany oszołom Janusz Palikot, który stwierdzając w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” z 8 grudnia 2011 r., że dla niego „narodowa suwerenność jest (...) niczym więcej niż retoryczną figurą” i opowiadając się zdecydowanie za budową federacyjnego państwa w Europie, kosztem unicestwienia państw narodowych, moim zdaniem, wykluczył się całkowicie z jakiegokolwiek rzeczowej dyskusji na temat przyszłości naszego kraju. Dał on bowiem przykład skrajnego cynizmu i zaprzaństwa, a za plugawe i antynarodowe wypowiedzi, tak on, jak i jego „hunwejbini” zasłużyli sobie na to, aby ich publicznie napiętnować.

Jedynie słabnący PiS próbuje obecnie skupić wokół siebie elektorat patriotyczny, występując z ostrą retoryką „bogoojczyźnianą” i zaciekłymi atakami na ekipę Tuska, za lansowaną przez niego i jego pupila Sikorskiego „politykę” bezwarunkowej kapitulacji wobec interesów Wielkich Niemiec. Ale czy można przy tym mówić o zupełnej szczerości prezesa Jarosława Kaczyńskiego? Prawdą jest, że dostrzegał on i podkreślał zagrożenie niemieckie, szczególnie w kontekście zacieśniającej się współpracy niemiecko-rosyjskiej, lecz jednocześnie popierał proces pogłębiania integracji UE, jakby nie dostrzegając faktu dominującej w tej instytucji roli Niemiec. Głosował też za ratyfikacją traktatu lizbońskiego, a nieżyjący prezydent Lech Kaczyński, który wyrażał się z entuzjazmem o Unii Europejskiej, mówiąc między innymi, że to „niezwykle wspaniały i udany eksperyment ludzkości”, zatwierdził go swoim podpisem. Podobnie jest z liderami nowego ugrupowania

powstałego w wyniku secesji grupy parlamentarzystów z PiS-u, którym przewodzą europosłowie Zbigniew Ziobro i Jacek Kurski. Jaką bowiem w tej kwestii, mogą mieć wiarygodność, skoro Ziobro głosował za traktatem, a Kurski jedynie wstrzymał się od głosu.

Sikorski występując w imieniu rządu z tezami o ograniczeniu suwerenności Polski nie tylko obraził nasze społeczeństwo, ale także przekroczył swoje kompetencje i sprzeniewierzył się prawom Rzeczypospolitej Polskiej. Poza tym definiowanie przez obecny rząd polskiego interesu narodowego, jako całkowicie zależnego od przyszłości Unii i strefy euro oraz forsowanie na siłę dalszej integracji „wspólnoty” i nieliczenie się ze stratami, jakie Polska będzie musiała ponieść, jest ewidentnym działaniem na szkodę narodu i państwa polskiego. Dlatego postępowanie Sikorskiego jest godnym najwyższego potępienia, ponieważ wykorzystując autorytet swojego urzędu i fakt sprawowanej przez Polskę prezydencji głosił on tezy niebezpieczne dla naszego narodowego bytu.

W zamieszaniu wokół jego wypowiedzi i szkodliwych działań rządu, nie chodziło wcale o jakąś wyimaginowaną debatę nad przyszłością Unii, ponieważ o kierunkach jej przekształcenia zdecydowały już Niemcy i Francja, będące faktycznymi hegemonami w Europie, co skrzętnie przemilczeli inspiratorzy całego zajścia. Tak naprawdę, gra toczyła się o najwyższą dla nas stawkę, czyli dalsze losy polskiej państwowości.

Dlatego w sytuacji, gdy rządząca nami klasa „pasożytnicza”, składająca się w większości z ludzi pozbawionych poczucia patriotyzmu i honoru oraz „zaczadzonych” kosmopolityzmem, pracuje intensywnie nad upadkiem Rzeczypospolitej, potrzebna jest nowa inicjatywa polityczna zmierzająca do odrodzenia narodowego naszej ojczyzny. Jeśli w najbliższym czasie, ludzie o dobrej woli i czystych intencjach, jakich jest jeszcze wielu w naszym kraju, nie podejmą koniecznych działań, to o naszej przyszłości może zdecydować „ulica”. Tylko, że wtedy na czele „oburzonych” może stanąć ktoś, kto nie będzie miał na celu odbudowy polskiej państwowości i kto może być jedynie kreaturą jakiejś międzynarodówki.

Myśląc o naszej wspólnej przyszłości pamiętajmy, że suwerennością państwa i wolnością narodu, jako wartościami nadrzędnymi i bezcennymi, nie ma prawa nikt kupczyć, bez względu na swoje przekonania polityczne, czy zajmowaną pozycję społeczną, ponieważ: „Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli. Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia na pokolenie. Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę państwa. Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem”.

Artykuł ukazał się w tygodniku „Myśl Polska” z 29 stycznia-5 lutego 2012, s. 8-9.